



Mirosław Derecki

NIE TYLKO MUZYKĄ ŻYJĄ FESTIWALE

Za każdym razem kiedy na estradzie pojawiała się wesola, cięta w języku „Czubernatka” - Wanda Czubernatowa, ludowa poetka spod Zakopanego, publiczność witała ją rześzystymi oklaskami. Czuło się serdeczną więź pomiędzy „starą znajomą”, prezenterką z poprzednich festiwali, a widownią. Kazimierz przez trzy dni trwania Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych - od 29 czerwca do 1 lipca - kipiał atmosferą wzajemnej życzliwości i wspólnej zabawy, jaka ogarnęła i występujących i widzów. Po nudzie tegorocznego Opola ten szósty już z kolei, rozśpiewany, roztańczony i rozbawiony festiwal był dla mnie prawdziwym odprężeniem.

Impreza, odbywająca się pod protektoratem Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, Wojewódzkiego Domu Kultury, Muzeum Okręgowego, Zarządu Okręgu PTTK i Zarządu Wojewódzkiego ZSMW, rozkręca się z roku na rok i zdobywa wśród widzów coraz większą popularność. Poza głównymi celami, jakie sobie stawia: popularyzowania wśród społeczeństwa muzyki ludowej, przeglądu obecnego stanu folkloru oraz utrwalenia najlepszych tradycji ludowego muzykowania, kazimierzowski festiwal przekształca się za każdym razem spontanicznie w powszechny festyn, mający w sobie i coś z wiejskiej zabawy i coś z wesołego, gwarne go jarmarku, jaki pamiętamy już tylko z czasów dzieciństwa. Równocześnie przecież ów radosny festiwal w niejednym z uczestników wzbudzi nutkę niezbyt wesołej refleksji: „truzmem jest twierdzenie - w Informatorze Festiwalowym organizatorzy - że pod naporem cywilizacji folklor, w swojej autentycznej postaci, wymiera, staje się coraz bardziej zjawiskiem historycznym. Kazimierzowski festiwal nie tyle może przeczy owej „prawidłowości”, ile p o w s t r z y m u j e (podkr. - MD) tempo zachodzących zjawisk. Jest formą dobrze pojętego mecenatu, rozumnej a czulej opieki sprawowanej nad istniejącymi jeszcze zespołami, solistami i instrumentalistami uprawiającymi prawdziwe ludowe muzykowanie.”

Może wynikać z powyższego również inna refleksja, taka, jaka nasunęła się jednemu z jurorów, red. Andrzejowi Wróblewskiemu z „Życia Warszawy”: „Co by to było, gdybym jadąc do Kazimierza, cały czas patrzył w lusterko, nie na szosę? Trochę mi to przypomina tan festiwal. To, co na nim widzimy, jest przeszłością. Jak wygląda folklor współczesny? Co się dzieje w miejskim wieżowcu, w którym mieszkają przedstawiciele pierwszego pokolenia inteligencji? Jak wygląda obyczajowość załogi fabrycznej na wsi? Jakie nowe pieśni obrzędowe powstają w miastach, których nie było jeszcze dziesięć lat temu? Jak zadomowił się u nas blues i czy to tak zwane „bigbity” to naprawdę tylko wrzask, łomot i jazgot? Do tej pory Kazimierz nie dał mi odpowiedzi na te pytania, a bardzo chciałbym ją dostać. Żyjąc, warto czasem spoglądać wstecz, ale iść naprzód z głową odwróconą do tyłu jest diablo niewygodnie”.

Jest sporo racji w tym co mówi Wróblewski. Może festiwal teraz, kiedy już okrzepł i wyrobił sobie odpowiednią pozycję, powinien obok „kultywowania” i „pielęgnowania” tego, co zanika, sięgnąć po obserwację i zgłębienie tego, co się tworzy na styku współczesnej wsi i współczesnego miasta: owego „współczesnego folkloru”, tkwiącego wszak głęboko korzeniami w folklorze „tradycyjnym”? Taka penetracja i prezentacja byłaby i jedyna w swoim rodzaju i niezwykle pouczająca. A sam festiwal nabrałby charakteru prawdziwie twórczej imprezy.

Wróćmy jednak do tegorocznego festiwalu. Nie silił się na „międzynarodowość”, jak niektóre z festiwali poprzednich, nie zobaczyliśmy ani jednego ludowego zespołu zagranicznego. Nie było też w nim pogoni za efekciarstwem; organizatorom nie chodziło o renomowane, sławne zespoły, ale o te najbardziej autentyczne, powstające w sposób spontaniczny w odległych często od placówek kulturalnych wsiach pracujące samodzielnie, bez pomocy zawodowych instruktorów. Kierując się tą słuszną zasadą, starano się jeszcze dodatkowo ograniczyć do minimum obecność kapel i solistów biorących udział w poprzednich festiwalach: inaczej kazimierzowskie spotkania stałyby się skostniałą imprezą, powielającą bezustannie te same wzory, a zespoły o ustalonej sławie i poziomie zagarniałyby pierwsze nagrody. I tak na przykład jeden z ubiegłorocznych laureatów, kapela im. Sabały, działająca przy PKS w Zakopanem, w tym roku dała osobny koncert, ale poza konkursem. Nie było też rozgraniczenia - jak poprzednio - kapel na „regionalne”, czyli owe najbardziej autentyczne i na „stylizowane”, nie wiele już mające z autentycznym folklorem wspólnego, a działające na zasadzie „ludowych zespołów” - dotowanych hojnie przez związki zawodowe - w przykładowych domach kultury. Po prostu regulamin konkursu nie przewidywał uczestnictwa tego typu zespołów.

W sumie - VI Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych był w pewnym sensie sprawdzianem pracy regionalistów i działaczy kulturalnych, przeczesujących jeszcze raz uważnie znane już tereny w poszukiwaniu autentycznych ludowych talentów. Wśród niemal 200 uczestników (23 kapele, 57 solistów) zwraca uwagę wielka liczba „nowych twarzy” i, co ciekawsze, spora grupa kapel powstałych bardzo niedawno, a grupujących ludzi o bardzo dużej rozpiętości wieku. Ten pęd do samorzutnego tworzenia zespołów regionalnych musi być wynikiem istnienia kazimierzowskiego festiwalu, jego popularności i oddziaływania na środowiska wiejskie. Kapela ludowa „Puscyki” z Kolna w woj. białostockim, reprezentująca folklor kurpiowski i składająca się z muzyków, którzy nie przekroczyli 26 roku życia, powstała zaledwie dwa lata temu. Kapela Regionalna z Zakrzewa w woj. poznańskim, której najstarszy członek liczy sobie lat 68, a najmłodszy 58, istnieje dopiero od 1971 r. Ośmioosobowa kapela ludowa „Zgoda” z Rakszowej koło Łañcuta powstała w 1970 r., ma już za sobą ponad sto publicznych koncertów, natomiast kapela ludowa z Giedlarowa na Rzeszowszczyźnie jest chyba najmłodszym stażem zespołem, bo działa od 1972 roku, za to przeciętna wieku jej członków waha się koło 50 lat. Podobnie z kapelą z Kamionki w powiecie chełmskim na Lubelszczyźnie: powstała w maju 1972 r.

Do kapel trafiają ludzie młodzi, często synowie i córki grających już od lat członków zespołu - spotyka się piętnastoletnich dudziarzy i czternastoletnich skrzypków, ale przytłaczającą większość stanowią ludzie w sile wieku albo grubo po sześćdziesiątce. Zespoły młode (wiekiem, a nie - stażem) oscylują jednak raczej w kierunku owych zespołów „stylizowanych”. Tak na przykład. Zespół Pieśni Podlaskiej ze Skrobowa w woj. lubelskim, składający się z 22-23 letnich mężczyzn i kobiet, pięknie prezentujący się w strojach spod Lubartowa, który podbił widownie swoją werwą, zawadiackością i... jędrnością przyspiewek, mógł razić wytrawnych folklorystów pewnym wystylizowaniem programu na ludowy „show”: czuć było tutaj rękę reżysera, szlifującego godzinami układy plastyczne, dykcję i mimikę swoich podopiecznych. Niemniej jednak właśnie województwo lubelskie zgłosiło do konkursu największą liczbą zespołów nowoodkrytych i „dziewiczo” świeżych. Chociaż żaden z nich nie znalazł się w czołówce nagrodzonych, to jednak - moim zdaniem - właśnie obecność kapel i solistów z regionu lubelskiego stanowiła w głównej mierze o interesującym profilu festiwalu.

Nagrodę dziennikarzy przyznano kapitalnej parze wykonawców - małżeństwu Leokadii i Walerianowi Nitychorukom z Wólki Polinowskiej w powiecie Biała Podlaska. On grał na starej polskiej harmonii, ona dzielnie sekundowała mu na bębnie z czynelami, posługując się w „grze” już to piętą, już to czymś w rodzaju wałka do ubijania kartofli. Instrumenty były

bardzo stare, być może odziedziczone po rodzicach albo dziadkach, sfatygowane od wieloletniego używania, ale też widać było na pierwszy rzut oko, że Nitychorukowie muzykują sobie w domu w chwilach wolnych od pracy, dla własnej przyjemności a nie na pokaz. Czuli się też na estradzie jak u siebie i zapewne Nitychorukowa zapomniała o istnieniu widowni kiedy, śpiewając „Zakładajcie kara konie, zakładajcie kolesa...”, równocześnie musztrowała męża, gdy na chwilę „wypadł” z melodii. Byli najsympatyczniejszą parą na festiwalu, ale też o nich chyba musiało myśleć jury, kiedy w zaleceniach końcowych dla organizatorów zwracało uwagę lubelskich działaczy kulturalnych na otoczenie większą opieką zespołów ludowych z powiatu bialskiego „w celu ukierunkowania repertuarowego”. Nitychorukowie oprócz autentycznych wiejskich przyśpiewek z lubością prezentowali małomiasteczkowe „dowcipne” piosenki w najgorszym stylu.

Jurność nie opuszczała nawet najstarszych wiekiem przedstawicieli regionu lubelskiego: 65-letni wirtuoz na listku bżowym i fujarce, Józef Bańka ze Strzyżewic w powiecie bychawskim - zrobił furorę pełną werwy piosenką:

„Stary ja już stary.
Już robić nie mogę.
Na młodą dziewczynkę
Założyłbym nogę...”

Ale szczególnie aplauzem cieszyła się kapela ludowa z Dzierżan w powiecie Tomaszów Lubelski, istniejąca już od pięćdziesięciu lat, a licząca łącznie (3 muzyków) 324 lata, występująca w autentycznych, własnych sukmanach, prezentująca m.in. przyśpiewkę:

„Do stodoły siano zwiozę
I na sianie się położę
Będę sypiał przy jej boku,
Nie odstąpię ani kroku.”

Z tegoż powiatu tomaszowskiego objawił się jeszcze jeden talent, zbliżający się do sześćdziesiątki, niezwykle sympatyczny Józus Szpargała, grający z prawdziwą maestrią na listku brzozowym.

Jury, któremu przewodniczył dyrektor Średniej Szkoły Muzycznej w Lublinie, mgr Włodzimierz Dębski, przyznało pierwszą nagrodę Kapeli Regionalnej z Zakrzewa w woj. poznańskim, w składzie: Franciszek Mańko - koziół (53 lata), Franciszek Domagała - klarnet (58 lat), Józef Piskorz - skrzypce (68 lat), Marian Zawieja - skrzypce (67 lat), Marta Bartkowiak - śpiew (68 lat) i Franciszka Kunke - śpiew (58 lat). Prezentowali się doskonale, kobiety w idealnie wyprasowanych szafirowych sukniach z błękitnymi fartuszkami, w

ślicznych białych koronkowych czepkach, mężczyźni w czerwonych kurtkach z białymi guzikami, czarnych spodniach i wysokich butach oraz zawadiacko noszonych czarnych kapeluszach. Ich muzykę i sposób zachowania na estradzie cechowała wykwintność, godność i głęboka kultura. Z miejsca stali się ulubieńcami publiczności.

Drugie miejsce przypadło również poznaniakom. Kapeli Dudziarzy Wielkopolskich, zespołowi założonemu w 1945 r. a działającemu pod patronatem Pałacu Kultury w Poznaniu. Znani są z wielu konkursów i festiwali krajowych i międzynarodowych, występowali m.in. w Czechosłowacji, NRD, NRF, Anglii, Holandii i Bułgarii.

Pierwsze miejsce w kategorii solistów-wokalistów zajęła Walentyna Pokuła z Poniatowej, zaś pierwszą nagrodę w kategorii solistów-instrumentalistów otrzymał Józef Broda z Koniakowa w woj. katowickim. „Multiinstrumentalista ludowy” - jeżeli tak by go można określić - 32-letni Józef Broda, był najbardziej atrakcyjną postacią festiwalu. Posiadacz najpiękniejszej brody i wąsów, zadziwił publiczność i jurorów nieprawdopodobnymi zdolnościami: grał na listku bżowym, na listku wierzbowym, na drumli, na piszczałce, na fujarce, okarynie, na gajdach (rodzaj dudów posiadających dwie piszczalki) i wreszcie - „na gębie”, to znaczy znakomicie naśladował świergot jaskółek, gruchanie gołębi, prychanie jeża, ryk byka. Okazał się utalentowanym śpiewakiem i nie mniej utalentowanym gawędziarzem. Jego gawęda „O starzyku, który przy pomocy starego samolotu przepędził z hali złodziei owiec”, wspierana w odpowiednich momentach rzeczoną „grą na gębie”, świadczyła dodatkowo o nieprzeciętnych zdolnościach aktorskich Brody.

Dodatkową atrakcją festiwalu były liczne imprezy towarzyszące, jak koncerty kapel w Puławach i w Lublinie, wielki kiermasz wytworów sztuki ludowej na rynku w Kazimierzu, pokazy garncarstwa, kowalstwa i wycinankarstwa artystycznego, wieczór ludowej poezji w wykonaniu aktorów Teatru im. Osterwy, no i wielka zabawa taneczna pod gołym niebem, trwająca do późnej nocy. Koncert laureatów został poprzedzony korowodem wszystkich kapel i solistów przybyłych do Kazimierza, konferansjerkę prowadził tradycyjnie Wojciech Siemion, szumiały kamery filmowe i telewizyjne, trzaskały aparaty fotoreporterów. Z najbliższej okolicy, z Puław, Warszawy i Lublina przybyły tłumy publiczności. Pogoda dopisała jak nigdy dotąd.

Można by więc VI Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu uznać za udany. Po raz któryś jednak ta ciekawa skądinąd impreza jawi się w wymiarze rozbijającym prowincjonalnym.

Czy doprawdy, po pięcioletnich doświadczeniach, organizatorów nie stać na zapewnienie większej liczby miejsc siedzących poza kilku setkami, podczas gdy liczba

publiczności sięga tysięcy? Czy zespoły oczekujące za estradą na swoją kolejkę muszą poniewierać się w pyle, bez jednej ławki, bez jednego krzesła? Czy nie można zapewnić więcej niż tylko dwie kolumny głośnikowe, tak że z odległości kilkudziesięciu metrów do sceny nie słychać nie tylko solistów, ale również kapel? Czy Kazimierz po kres swego istnienia będzie brudny, niechlujny i fatalnie zaopatrzony? Czy naprawdę do niczyjej wyobraźni nie dochodzi, że atmosfera cechująca kazimierzowski festiwal, atmosfera życzliwości i zaangażowania (zespołów i publiczności - oczywiście) kiedyś się wreszcie wypali jeżeli nie będzie otrzymywała odpowiedniej pożywki w postaci zapewnienia ludziom elementarnych wygód?

Może warto się zastanowić nad tymi kilkoma pytaniami już teraz, zanim okaże się, że kolejny, VII festiwal znów zaskoczy zarówno organizatorów, jak i władze miejskie?

Pierwodruk: „Kamena”, 1973, nr 15, s. 8,10.